Nr. 4. Lwów, —— 1893 r. Wydawnictwa Rok XVI.

GONIEC i ISKRA

(Dziennik dla wszystkich.)

Czasopismo illustrowane.

Numer pojedyńczy **20.** ct. w. a. — Dodatek osobny literacki dla nieprenumeratorów **10.** ct. w. a.

Goniec i **Iskra** wychodzi: 10.. 20 i ostatniego każdego miesiąca, zaś **dodatek osobny** w każdym miesiącu. Nadto, prenumeratorowie **Gońca i Iskry** otrzymują osobne *bezpłatne premia.* Prenumerata na **Gońca i Iskrę** wraz z **osobnym dodatkiem** i **premiami** wynosi tak w miejscu, jak i na prowincji kwartalnie 2 złr., półrocznie 4 złr., rocznie 8 złr. **Dodatek osobny** dla nieprenumeratorów „Gońca i Iskry“ kosztuje **10 ct. w. a.** W poznańskiem i w Niemczech 16 marek rocznie, we Francji i innych krajach, oraz w Ameryce północnej 20 franków (4 dolary); rocznie w Ameryce południowej, w Brazylji, Australji i innych częściach świata 25 franków — stosunkowo na kwartał i pół roku. Za ogłoszenia opłaca się 8 ct. za wiersz drobnem pismem, lub za jego miejsce. Nadesłane po 20 ct. od wiersza. Opłata od ogłoszeń większych stosownie do umowy. Za granicą ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń. Prenumeratę i wszelkie należytości przesełać najdogodniej przekazami pocztowymi, lub w listach rekomendowanych albo pieniężnych: **do Administracji Gonca i Iskry we Lwowie, ulica Kraszewskiego l. 23.** Z Ameryki najdogodniej przesełać prenumeratę dolarami papierowymi *w listach rekomendowanych*, lub także przekazem pocztowym. — Listy powinny być frankowane. — Numera odnoszą się zawsze do mieszkania każdego prenumeratora.

*Właściciel i naczelny redaktor: **M. D. Chamski.***



Michał Bałucki.

Mawiali dawniej i mówią jeszcze teraz: to jest szlachcic z krwi i kości — o Bałuckim możnaby powiedzieć: to jest komedjopisarz z krwi i kości... Tylko, że do uformowania typu szlacheckiego, oprócz tego, co się ma w sobie, przychodzą jeszcze właściwości tradycji rodu i tradycji rasy, a na uformowanie się typu autorskiego, siedzi tylko coś w samym człowieku i ono urabia literacką fizjognomję. Michał Bałucki, jako komedjopisarz, bez względu na nierówną wartość literacką tego, co napisał, może powiedzieć: jestem wszędzie sobą i nie przystrajałem się nigdy w najmniejszy strzęp cudzy. Jest jeszcze jedna właściwość fizjognomji literackiej Bałuckiego: ciągłość szlachetnej demokratycznej tendencji, od wczesnego poranku, aż do ostatniej jego pracy. Można się na taką tendencję nie godzić, można ją nawet zwalczać, można z nią nie sympatyzować, ale uznać musi każdy tę stałość przekonań o stosunkach społecznych i schylić czoło przed autorem, dla którego miłość swego społeczeństwa stała się artykułem wiary. Rzadko kto tak chłoszcze bez litości, jak Bałucki w swoich komedjach i rzadko kto tak kocha to, co chłoszcze, jak on... W naszym świecie literackim, przynajmniej z tych czasów, co Bałucki, a przekroczył on już od kilku lat pięćdziesiątkę, ze świecą trzeba szukać literatów, którzy więcej niczem nie byli i nie są tylko... literatami. Do takich nielicznych polskich autorów, którym czasem listek róży złożony na dwoje przeszkadza, a swoją drogą na różach nie sypiają, należy, właśnie, Michał Bałucki. — Nie potrącił on nigdy o żaden inny zawód, literalnie nie sięgał po żadne zaszczyty, ani filisterskie stanowiska w społeczeństwie — po za literaturą, nie widział dla siebie miejsca, a dla literatury, obejmował bystrym wzrokiem całe życie nasze, wnikał w nie i chwytał w lot to, czego inni zobaczyć nie mogli. Talent Bałuckiego, jest, właśnie, dla tego tak samodzielny, że go nie skaziło żadne tchnienie takich zajęć, w których człowiek marnieje, a literat ginie...

Wymieniać licznych dzieł Bałuckiego, tak powieści, jak i komedyj, nie będziemy — któż ich nie zna, a popularność jego nazwiska, jako autora, przedarła się nawet do tych, którzy się bardzo mało zajmują literaturą. Rodzone dziecię Krakowa, stał się Bałucki ulubieńcem Warszawy, tej stolicy polskiej, która ze szczególną troskliwością, miłością i patrjotyzmem, otacza wszystkie talenta... Boże drogi! żeby zabrakło tej Warszawy, to kto wie, czyby nie zabrakło talentów w literaturze i sztuce polskiej, chociaż tam knebluje usta cenzura i strzegą patrjotyzmu żandarmi, a w naszej kochanej Galicji, błyszczą kontusze i karabele, nawet u krawców lwowskich i taki straszny patrjotyzm, że się rozchodzi sto egzemplarzy dobrej powieści polskiej, a pismo polskie, jeśli nie będzie omnibusem i nie pokrzepi się inseratami, to staje się podobnym do galicyjskiego djurnisty, żyjącego tylko po to, aby prędzej, czy później umrzeć z głodu...

Wspomniane było w jednym z poprzednich numerów, że komisja, czy komitet, czy, jak się tam nazywa, konkursowy, jako autorowi *Flirtu* wyrządził Bałuckiemu krzywdę, nie przyznając mu, przynajmniej, drugiej nagrody — zgadzamy się w zupełności na to i podnosimy także na tem miejscu, że konkurs chybiony został, bo skoro publiczność rozstrzygała, to na niej się też sąd oprzeć był powinien, a *Flirt* już przeszło czterdzieści ma pełnych przedstawień. Ale Bałucki może sobie machnąć ręką i powiedzieć: »pal was sześć — nie wyrosłem ja z konkursów, tylko z tego, co we mnie jest: z

mojej soli, z mojej literackiej roli, i z tego co kocham, i z tego co boli...«

Oto, co podajemy o Bałuckim do wizerunku, który zdobi dzisiejszy numer »Gońca i Iskry«. Ani portretu, ani życiorysu literackiego nie piszemy. Wyrwaliśmy z serca literackiego to, co tam dla Bałuckiego tkwiło i niechże czcigodny autor »Flirtu« przyjmie to od nas, jako hołd dla jego talentu, pracy i kryształowego patrjotyzmu!

Od Redakcji.

Nr. 3. *Gońca i Iskry* (poprzedni) z powodu rycin i tekstu omawiających żałobę narodową, gdy już wszystko było gotowe, musiał być cofnięty z ekspedycji, tak, że niepodobieństwo było zaraz wyrysować nowe ryciny i zrobić je w litografji. Zatem, numer ten w odmiennym wydaniu dołączony zostanie do Nru 5go.

Nr. 3. zawierać będzie mnósto ozdobnych i ładnych rodzajowych i humorystycznych illustracyj, a co do artykułu o młodzieży i żałobie narodowej, to artykuł taki, swoją drogą, zamieszczony zostanie w Nrze 5. *Gońca i Iskry* umyślnie po skończonym karnawale, aby nikogo nie draźnić i nikogo nie podjudzać.

†

Ś p.

TEOFIL LENARTOWICZ,

jak już wiadomo z telegramów i obszernych artykułów pism codziennych zmarł na emigracji we Florencji, przeżywszy 71 lat. Przedostatni to poeta z tej plejady, której działalność w literaturze pozostanie na zawsze i której wpływ i owoce w społeczeństwie polskiem, niczem wygładzone nie zostaną. Pozostał jeszcze Kornel Ujejski, dopiero co przekroczywszy siedm krzyżyków. Śmierć Teofila Lenartowicza okrywa żałobą cały naród polski. Na razie rzucamy tych kilka słów pośmiertnego wspomnienia, wkrótce zaś zamieścimy portret zmarłego poety i obszerniejszy artykuł

Od ręki.

= Kronika żałobna.

Znany w szerokich kołach i wysoko ceniony dla swoich cnót osobistych, nauki i zdolności lekarskich ś. p. dr. Żegota Krówczyński, zmarł w tych dniach we Lwowie, nie dobiegłszy jeszcze pięćdziesiątki życia. Od dawna nurtująca choroba piersiowa powoli zjadała organizm, a silnie w końcu rozwinięte suchoty, oparły się wszelkiej wiedzy i opiece lekarskiej. Ś. p. dr. Żegota Krówczyński był autorem wielu cennych prac lekarskich, drukowanych po czasopismach specjalnych i w wydawanych książkach; pochodził z ubogiej rodziny i sam własną pracą i zacnem życiem, zdobył stanowisko naukowe, szeroką praktykę lekarską, szczery szacunek ogólny i miłość tych, którzy go bliżej znali. Zmarły był prezesem Towarzystwa gimnastycznego „Sokół“ we Lwowie, które w organizacji swej i w ustaleniu, zawdzięcza mu bardzo wiele — to też „sokolstwo“ lwowskie okryło się dwumiesięczną żałobą po swoim prezesie, a pogrzeb ś. p. Krówczyńskiego, był wspaniałą manifestacją dla zasług zmarłego. Ś. p. Krówczyński zmarł wdowcem i pozostawił czworo dzieci małoletnich, które, jednak, mają los zabezpieczony, gdyż zmarły, oprócz kamienicy we Lwowie, pozostawił kilkadziesiąt tysięcy reńskich w gotówce.

= Towarzystwo wzajemnej pomocy dziennikarzy polskich we Lwowie.

Pod taką nazwą powstało stowarzyszenie, które, bynajmniej, nie obejmuje samego Lwowa, lecz jest dostępne dla wszystkich dziennikarzy polskich. Witamy je szczerze, serdecznie i wierzymy, iż z działalności tego Towarzystwa, spłyną błogosławione owoce. W społeczeństwie naszem, jeden tylko dziennikarz polski starał się o dobro dla wszystkich, a o sobie nigdy nie myślał — jest on najgorliwszym opiekunem wszystkiego i wszystkich, a sobie samemu, zaledwie czasem, ukradkiem, w kącie, otrze łzę rękawem, a najczęściej ją połknie i uśmiechnie się do biednych, do zwątpiałych, do filistrów i do... głupich... Za granicą, we Francji n. p., dziennikarz chodzi w złocie, często w błocie, a zawsze ogół wynagradza go po uszy we wszystkiem za tę strawę codzienną, którą żyje i bez której żyć nie może — u nas, powiedzmy prawdę, bez przechwałek — dziennikarz polski, jest uosobieniem poświęcenia i abnegacji. Są wyjątki — są, ale jak ich mało i. jakie one inne od tego, co tam jest za granicą!..

Więc „wzajemna pomoc“ wśród dziennikarzy polskich, to, rzeczywiście, kwiat świeży i tak piękny, że aż drży się ze strachu, aby go jaki wiatr djabelski nie zmroził, aby nie zwiądł zanim się ziarna z niego sypać zaczną. . A u nas, we Lwowie, tak łatwo o to. .

Zasługa inicjatywy tego Towarzystwa, należy się najmłodszej falandze lwowskich dziennikarzy. Jeśli instytucja rozwinie się, spotężnieje i dobroczynne owoce wydawać będzie — na kartach dziejów naszego dziennikarstwa inicjatorowie znajdą chlubne i trwałe miejsce — jeśli okoliczności i niezdrowie zwichną ją, to i tak cześć się należy ludziom, co chcieli dobrze robić tam, gdzie robić bardzo trudno...

Inicjatorami założenia Towarzystwa są panowie: Kolbuszowski, Laskownicki (syn), Jastrzębiec, Milski i Rossowski — poparło ich kilku innych, a później i starsza gwardja pospieszyła pod chorągiew, choć jeszcze z niej wielu brakuje i nie prędko zdecyduje się do... „wzajemnej pomocy“. . Ale lody już przełamane — niech więc płynie czysta woda!... Niech otrzeźwia, i uzdrawia, i obmywa, i pierze nawet, gdy zajdzie tego potrzeba, ale własną wodą, własnemi rękami, własnem sercem, własnem sumieniem, nie przy pomocy cisnących się „inteligentów“, filistrów i amatorów kwaśnych, czy słodkich jabłek...

Towarzystwo rozpoczyna działalność swoją dobrym uczynkiem, bo koncertem na rzecz rodziny literata i dziennikarza tutejszego, dotkniętej niespodziewanem nieszczęściem.

Szczęść Boże!...

= Włoska Panama.

W „Gazecie Warszawskiej“, w wybornie napisanym artykule p. t. „Panama włoska“, znajdujemy między innemi, ustęp godzien szczególnie powtórzenia i zapamiętania:

„Koniec roku ubiegłego — mówi autor — i początek bieżącego możnaby objąć wspólnem mianem okresu walki przeciwko korupcji, szerzonej przez giełdy i wszechpotężne na giełdach koła bankierów.

„Po Berlinie, Paryżu, Wiedniu, przyszła teraz kolej na Rzym, gdzie owe koła bankierskie, rzucając społeczeństwu, niby piasek w oczy, skrajne hasła, czy to anti-katolickie, czy to polityczne, pod ich osłoną od lat dwudziestu, prowadzą gospodarkę wysoce łotrowską, demoralizującą i rujnującą naród włoski. Podobnie, jak w Paryżu, giełda znalazła najuniżeńszego poplecznika w ministrze skarbu, Rouvier'ze, tak samo we Włoszech wszystkie mętne operacje finansistów popierał Luzzati, kilkakrotny minister skarbu.

„Za jego to właśnie rządów dopuszczano się nadużyć, które teraz, dzięki ludziom dobrej woli, wydobyte na światło dzienne, zachwieją i tak już silnie nadszarpnięty kredyt Włoch.“

= Polacy w Brazylji.

Od niedawna wychodzący we Lwowie *Przegląd Emigracyjny*, w jednym z poprzednio wyszłych numerów, podaje dość ciekawe i interesujące szczegóły o warunkach kolonizacyjnych i roboczych, wśród których znajdują się, lub znajdować się będą polacy emigrujący do Brazylji. *Przegl. Emigr.* twierdzi, że główną przyczyną forsowania emigracji do Brazylji, jest nagląca potrzeba sprowadzenia robotnika na plantacje kawy, który mógłby zastąpić niewolników murzynów, „gdyż negr wyzwolony z niewoli wiekowej, niechętnie pracuje na plantacjach, woli nieraz marnieć w lasach dziesiątkowany chorobami, pracować w miastach otrzymując nędzne wynagrodzenie — byleby nie patrzeć, lub patrzeć zdaleka na wstręt i odrazę wzbudzające w nim domy i całe to otoczenie, w którem spędzał ciężkie dni niewoli i hańby; zresztą, liczba negrów rok rocznie się zmniejsza i dziś czarnych obliczają najwyżej na 750.000 w całej Brazylji.

Kwestja sprowadzenia robotnika na plantacje, jest kwestją życia, lub śmierci.

Na własne oczy widziałem ogromne przestrzenie kawy wyschłej, ogromnie kwitnące za niewolnictwa, plantacje prawie pustką stojące. Jeszcze kilka lat przejdzie, a ludność czarna — jeżeli tak dalej pójdzie, jak teraz — zmaleje i plantacje nieobrobione — o ile nie obrobi ich robotnik — europejski emigrant — lub chińczyk — zmniejszą swą produkcję i Brazylji, opierającej swój dobrobyt na produkcji

kawy przeważnie, groziłby zupełny upadek ekonomiczny.

Brazylja więc w danej chwili potrzebuje do północnych swych prowincyj robotnika, a nie kolonisty. Tu leży sęk sprawy, tu leży ta główna przyczyna, dlaczego kolonista każdy w Brazylji jest faktycznie — świadomie, lub nieświadomie, upośledzony.

Trudno się, zresztą, łudzić, by Brazylja wszystkie dochody swe oddać chciała na cele humanitarne! Bo i z jakich racyj ma ją obchodzić więcej kolonista, niż miejscowy obywatel, który prawie żadnej korzyści z kolonisty mieć nie może, gdy tymczasem robotnika należycie spożytkować i wyzyskać potrafi.

Zrozumiałem teraz będzie, dlaczego kolonista polak, — a polak tembardziej, gdyż mniej od innych nadaje się do pracy „na kawie" — jest postawiony w trudne położenie, gdyż nie na to, żeby był kolonistą tu go rząd brazylijski sprowadził; wszyscy chłopi nasi chcieli iść na własne kolonje, i jeżeli jakieś kilka tysięcy zaciągnięto na plantacją kawy, to zaciągnięto prawie siłą i, zresztą, niewielką tam z nich miano korzyść, emigrantów naszych zaledwie $^1/_5$ część zaciągnięto „na kawę", gdy z ogółu przybywających do Brazylji emigrantów na plantacje poszło $^2/_3$ w r. 1891 "

= Z Rzymu.

Od dość dawnego czasu, po mieście obiegały pogłoski o nieporządkach, jakie dzieją się w banku rzymskim, lecz żaden dziennik, nie mając faktycznych danych, nie śmiał otwarcie wystąpić w tej sprawie. Pogłoski te sprawdziły się obecnie i dom zamieszkały przez dyrektora banku, kawalera Tanlongo, oraz mieszkania dyrektorów, od kilku dni są pilnie strzeżone przez licznych agentów policyjnych. Ze śledztwa okazało się, iż w kasach banku brakuje 45 miljonów lirów, które rozpożyczono osobom nie prowadzącym interesów handlowych. Znaczna część tej sumy podobno utonęła w kieszeni dyrektora, kawalera Tanlongo i naczelnego kasjera, barona Sarzaroni'ego. Nie wolny od podejrzeń jest i prezes banku, książe Torlonia, zwany *duca di Cari*, jeden z najzamożniejszych przedstawicieli arystokracji włoskiej. Jednocześnie wykryto deficyt w rzymskiej filji banku neapolitańskiego *(Banco di Napoli)*. Brak tam podobno dwóch milionów i kasjera, p. Cucinielli'ego, który w porę i incognito udał się w daleką podróż.

Bank rzymski miał prawo wydawania banknotów, które kursowały na równi z banknotami rządowymi *Banca Nationale*. Cała ta sprawa bankowa, nazwana w Rzymie zdrobniale *il Panamino*, niezbyt przyjemna jest dla rządu. Urzędowy dziennik „Popolo romano", który gorliwie bronił banku rzymskiego, obecnie przyznał w pokorze, iż wszystkie wiadomości, udzielone izbie przez deputowanego, Colajanni'ego i, które tenże sam dziennik mienił oszczerstwami, okazały się prawdziwe. Dzienniki obecnie ostro napadają na rząd, zapytując, co porabiał komisarz rządowy, który obowiązany jest czuwać nad każdym bankiem, mającym prawo wypuszczania banknotów.

Inny skandal w sferach towarzyskich interesuje tu wszystkich, nie mniej od *Panamina*. Rzecz działa się w rzymskim klubie arystokratycznym, zwanym „myśliwskim". Syn żydowskiego bankiera, który zrobił majątek na lichwie, Lamberto Colonna, prowadził w Rzymie wystawne życie, rozrzucał złoto pełnemi garściami na wszystkie strony i uchodził powszechnie za człowieka bardzo eleganckiego i gentelmena bez zarzutu. Z tego tytułu udało mu się przekroczyć drzwi do arystokratycznego klubu *della Caccia*, zazwyczaj pilnie strzeżone.

Zainstalowawszy się tam na dobre, nowy *clubman* począł uprawiać wszelkie gry, jako to: wista, écarté i baccarata, ze zdumiewającem szczęściem, które gdy stale sprzyjać mu zaczęło i nie zawodziło nigdy, dało powód do podejrzeń. Gdy wygrana doszła do kilkuset tysięcy franków, nieprzychylne wieści dla gracza zaczęły krążyć coraz otwarciej i uporczywiej. Chcąc temu zapobiedz i pozyskać na nowo sympatję, która coraz więcej znikać zaczynała, młody Collonna wydał wspaniały obiad i rozdał na nim drogocenne podarki damom, należącym do najwyższej arystokracji włoskiej. Panie lekkomyślnie trochę postąpiły przyjmując dary, czego dziś zapewne szczerze żałują. Pomimo, że po owym obiedzie z podarkami położenie towarzyskie młodego bankiera znów nieco poprawiło się, w klubie postanowiono rozciągnąć nad nim baczny nadzór. Ostrożność ta nie była zbyteczną, bo w kilka dni później, przy grze, w chwili decydującej, hr. Antonelli i markiz Marignolli schwycili go za ręce.

Obrażony bankier pragnął z całej tej sprawy wykręcić się pojedynkami, nikt jednak bić się z nim nie chciał, a wszyscy zażądali wydalenia go z klubu.

Odzew.

„Zbudzeni" — słyszę — wołają w głos:
Że naszej pieśni coś... pusty kłos,
Że pierś zamknięta — otwarty trzos...
Że na brzęk złota, lub orgji czad,
Każdy zaśpiewać słodko nam rad —
A nie masz hymnów, niebiańskich ech!
Co w górę wiodą! z pod swoich strzech...
Na których próchno, lub zgnilizny mech.

„Zbudzeni" — przeto — obudźcie wprzód:
Sprawiedliwości wyrok za trud,
Na waszem łonie roztopcie lód!
I kiedy pieśniarz w dziecięcą dłoń
Pochwyci lirę (Boże go chroń!),
To szyderstw waszych niech nad nim zgrzyt
Po — macoszemu nie syknie: „cyt!"
By już do śmierci był pieśni syt..

Boć takich orłów nie widział świat —
Żeby pisklęciem na chmury spadł,
I z gromów drwił — nim doszedł lat?
...Pisklę do serca przytulić wraz!
Bo życia nie da mogilny głaz...
Gorącą piersią miłośnie tchnąć!
A w górę strzeli młodziuchny prąć,
Do słońca żwawo będzie się piąć.

Pytajcie orłów — siła ich zkąd?
Srebrnemi skrzydły ciąć wichrów prąd —
Kto im z szafirów przestworza sprządł?
— Ten, co w miłości, wzniósł światów krąg,
I co w miłości — pod krzyżem kląkł!
— A więc „zbudzonych" głosie nie trzeszcz!...
Wpierw, z swego serca — zdejm żółwi kleszcz:
A rychło na niem, zrodzi się — wieszcz.

Franciszek Lasocki.

Czy pamiętasz?

Obrazek
Elizy Orzeszkowej.

Miał pozór szczęśliwego, a przedewszystkiem ważnego człowieka i nie był to pozór kłamliwy, bo istotnie z siebie i z losu swego czuł się zadowolonym zupełnie, a w fizycznem zarówno, jak w hierarchicznem znaczeniu ważył wiele! Gdyby z jednej strony spoczęły na szalach wszystkie zdobiące go tytuły i godności, a z drugiej kwitnąca jego tusza i wzrost okazały, niepodobnaby przewidzieć, które z szal podniosłyby się w górę. Był fizycznie wysoki, otyły, rumiany, a hierarchicznie, możny, dostojny, wpływowy. Pomimo lat pięćdziesięciu, zachował włosy gęste i ciemne, cerę gładką, ruchy swobodne, jakkolwiek zarazem wspaniałe; zaś, dlatego właśnie, że lat trzydzieści szedł jedną drogą, z jednym celem przed oczami i jedną wolą w nerwach, posiadał to, co zadawalniało panujące zapewne potrzeby jego natury: rangę wysoką, tytuł wysoko oświeconego, zażyłe stosunki z jeszcze wyżej oświeconymi, wykwintne obiady i przyjemne partyjki w najwykwintniejszym z klubów, szubę przekosztowną, dorożkę śliczną, lokaja, sanie i konia rysaka. „Hej, hej! — myślał sobie czasem — gdzie to ja zaszedł! Skąd wyszedł, a gdzie zaszedł! Nie na edredonach ja rodził się, ani mnie matka w złotej kołysce kołysała! Poczciwa matka! Dobre z niej było kobiecisko: łagodne, kochane takie, aż tęskno robi się wspominając. Ojciec też niczego był sobie człowiek; a jak całował, aż twarz oślinił i zdaje się, że zapłakał troszkę, biedaczysko! Biedni byli, no, nie żebraki przecież, ale i nie bogacze. Phuu! co za życie wiedli oni!... Niech czart weźmie! Wieczne kłopoty, zachody, praca, a skutek ich taki, że plunąć na niego tylko warto. Wszystkiego sobie odmawiaj, nic nie użyj, żadnego znaczenia na świecie nie miej i gnij w nudzie za życia, tak jak po śmierci zgnijesz w grobie i to przedwcześnie, bo przedwcześnie oni pomarli, ze zgryzot, albo też z nudy, czy ja wiem? Jabym i trzech lat tak nie przeżył, jak Boga kocham! W łeb sobie palnąłbym, albo pierwszego lepszego kpa na pojedynek wyzwał i zabić dał się, jak Boga kocham! Z takiego dołu wyleźć i na taką górę wleźć — sztuka! Kiedym jej dokazał, tęgą mieć muszę głowę, a nerwy, jak okrętowe liny, skoro od takich trudów, jakie poniosłem i takich nieprzyjemności, jakie przecierpiałem, nie popękały. Wszystko znieść trzeba było, aby dojść... Zniosło się! I dobrze! Phi! phi! jak dobrze! Czego mnie brakuje?.. Stanowisko, honory, stosunki, dochody — mam! Czego ja nie mam i do czego nie doszedłem! Dzielny ze mnie mały!"

Pod względem pracowitości nie przeceniał siebie wcale. I teraz jeszcze w biurze instytucji, której był wysoko opłacanym zwierzchnikiem i w innych, w których zajmował miejsce honorowego członka, lub dobrodzieja i protektora, pracował codzień przez długie godziny gorliwie, żwawo, energicznie. Miewał też często w zakresie swoich czynności wyborne i samodzielne pomysły, a punktualność jego, aktualność, ostrożność, śmiałość, zresztą, nie wyłączająca, znaną była nietylko szeroko, ale nawet bardzo wysoko. W abstrakcje nie wdawał się absolutnie w żadne; poprostu nie przychodziły mu one na myśl nigdy, o samem istnieniu ich nie wiedział, albo zapomniał. Ale z rzeczami takiemi, jak cyfra, fakt, data i t. p. nie żartował i uznawał je za panów świata i swoich. A jakże! Naturalnie! Bez tego nie mógłby przecież dojść. W zamian, gdy codziennie wspaniały i pogodny, jak zwykle każda prawdziwa wielkość bywa, z marmurowych, w złocone poręcze ozdobnych schodów wielkiego gmachu zstępował, głowy podwładnych, nie lada jakich, chyliły się przed nim, jak kłosy przed słońcem, spojrzeniami, uśmiechami, przysługami, o spojrzenie, uśmiech, łaskawe słowo żebrząc. Błogo! błogo!... Potem... hej, hej! Szybko, równo, z gracją, kołysząc się w obie strony, mknie piękny rysak po śniegiem zasłanej, ogromnej, długiej, prostej ulicy ogromnego miasta, a na wytwornych saniach, z futrzanych puchów głowę tylko wynurzając, jego wysoka oświeconość nieustanne prawie ukłony rozsyła ku innym podobnym saniom i z futrzanych puchów wynurzającym się głowom, dostojnym, marsowym, lub janusowym, glorjami łysin, zarówno, jak sławy, opromienionym głowom, które wszystkie, jak równe ku równemu, przesyłają mu ukłony, uśmiechy, znaki przyjacielskiej poufałości i koleżeńskiego porozumienia. Bo też i koledzy to jego są w pracach, dążeniach, zabawach; teraz zaś, tak, jak i on, ogromną, białą od śniegu ulicą, wśród dwóch rzędów ogromnych, białych domów, pod białem niebem, wszyscy oni mkną w stronę jedną do klubu, w którym oczekują pływające w sadzawkach

Ciekawość.



— Ciekawy jestem, gdyby tak podegrzać termometr — czyby też cieplej byłoby na świecie?...

żywe sterlety i kosze pełne lodu, a w lodzie, szampana Błogo! błogo!... Potem... na nocne, ciemne niebo wypłynie księżyc, jak krąg białego opłatka, przygasły i smutny, a przy jego świetle, po wysokich śniegowych zaspach, trójka za trójką, z brzękiem i dzwonieniem polecą za ostatnie kresy ogromnego miasta, daleko tam, gdzie czarnookie, lubieżne cyganki śpiewają i tańczą, a noc przechodzi w ulewie świateł i w pożarze szałów... Albo opera! Niech czart weźmie, jakie tam drogie i modne śpiewaczki gęby rozdziawiają! O dźwięki, które z gąb tych wychodzą, dba on bardzo mało, bo muzykalnego ucha odmówiła mu natura i w ogólności wszystkie takie rzeczy, to głupstwo! Ale takie sumy, jakie otrzymują one za swoje śpiewanie, szacunek i ciekawość budzą, a z innej strony, w ogromnym teatrze ściany pozłacane, oczy aż mrużą się od jasności, w lożach cały ogród pięknych kobiet, z których on zna z bliska tę, owę i tamtę, w krzesłach cały olimp dostojnych mężów, z których on zna tego, owego i tamtego, gorący oddech tłumów, żartobliwe szepty, widzenie wszystkich i pokazywanie się wszystkim, z ręką w antrakcie z gracją o poręcz fotelu wspartą, z lornetką przy oku... Błogo! błogo!... I tak dalej, i tak dalej, dzień za dniem, noc za nocą, dumnie, szumnie, wesoło pomyka życie: pycha na wawrzynowem łożu przewraca się z boku na bok i aż stęka z rozkoszy; zmysły nurzają się w morzu róż i wszystkiemi swemi nozdrzami piją ich wonne i słodkie olejki.

Jednak, od lat dwóch może, jego wysoka oświeconość stawać się zaczął mniej zadowolonym i wesołym. Coś z nim stawało się takiego, czego sam nie rozumiał i co zrazu fizycznemu niedomaganiu przypisał. Zasięgał więc rady lekarzy (samych wielkich i sławnych), jeździł do Spaa i Ostendy, używał hydropatji, gimnastyki i masażu — nic nie pomogło. Bolów żadnych nie czuł; silnym był tak, że jak sam powiadał, wołu pięścią zabić mógłby; a jednak coś mu było, coś z nim stawało się widocznie, że nawet spostrzegali to weseli i zazwyczaj nie bardzo tkliwi na cierpienia bliźnich koledzy i przyjaciele. I jakżeby mogli nie spostrzedz zmian tak widocznych? Głośny, swobodny śmiech jego, daleko rzadziej, niż przedtem napełniał klubową salę; przy najlepiej, a co więcej, w najzaszczytniejszy dla niego sposób dobranej partyjce nie rozpromieniał się, nie żartował; raz na propozycję jechania do cyganek schmurzył czoło, machnął ręką i mruknął niechętnie: „Czart niech weźmie! Nie chcę! toujours des perdix!“ Innym razem, talerz z wybornie przyrządzonym sterletem popędliwie odsuwając, skrzywił się: „nadojadło“. Czasem, oczy jego, zazwyczaj ogniste i bystre, przybierały pozór szklanych i, gdy nieruchomo wpatrywał się niemi w pustą przestrzeń, zębami przygryzał końce wąsów, zupełnie tak, jak to czynią nie szczęśliwcy i panowie tego świata, ale jego skłopotani i zgryzieni wyrobnicy. Na czole, niedawno jeszcze tak gładkiem, jakiem prawdziwie dostojne czoło być powinno, zjawiły się zmarszczki poprzeczne, zrazu cienkie, jak nici jedwabiu, ale potem coraz głębsze... Co mu się stało? — zapytywali przyjaciele. „Co mi się stało?“ — sam siebie zapytywał i zarówno sobie — jak przyjaciołom odpowiadał: „Czy ja wiem? Świat zmienił się, czy ja zgłupiał? Trzymałbym zakład, że sam nie wiem, co mi jest!“

Na głębszem, dalekiem, ciemnem niebie zimowem świecił księżyc, jak krąg białego opłatka, przygasły i smutny, bo blask jego tłumiły olśniewające światła gazowe, szeregami, gromadami, girlandami, palące się na ogromnym, od śniegu białym placu ogromnego miasta Po białym śniegu, w olśniewającem świetle pomykają w różne strony krzyżując się tysiące punktów czarnych, w obec ogromu placu drobnych, a szybkich, cichych, dzwoniących tylko brzękami uprzęży. To rój sanek, rozwożących tłum ludzi od rozwartych na oścież i w łunie świateł stojących wrót teatru.

Tak, jak inni, był dziś w teatrze, słuchał opery, widział wszystkich i w antraktach, z ręką z gracją o fotel opartą, pokazywał się wszystkim. Potem wskoczył na sanki, zagrzebał się w futrach i na stangreta zawołał: „Prędko!“

(Dokończenie nastąpi).

Świecą gwiazdy...

Świecą gwiazdy, świecą,
Na wysokiem niebie...
Jeno nie myśl, chłopie,
Że to i dla ciebie!..
Ta jasna z tysiąca,
Co wschodzi od boru,
Jako skrawek słońca —
To pana ze dworu.
A niżej — ta druga
Ze złota szczerego,
Co nad stawem mruga —
Proboszcza naszego.
A trzecia, co w pobok
Rzuca snop ognisty,
Jako srebrną kądziel,
Gwiazda organisty.
Wszystkie przed oczyma
Palą się, jak zorze!...
Tylko twojej niema,
Chłopie ty nieboże!
Powiadają ludzie,
Że z dawnej dawności,
Pan Bóg wszystkie gwiazdy
Zapalił w równości.
Ni chłopa, ni pana,
Nie było na niebie...
Każdy człek swą własną
Gwiazdę miał dla siebie.
Ale, jak się zaczął,
Kurczyć lud ubogi,
Poszły gwiazdy z nieba
Na roztajne drogi...
A te pańskie świecą,
Jako talar biały..
A ta chłopskie w rolę,
Jak łzy, pospadały...

Marja Konopnicka.

Policjantki.

Jeszcze jedną profesję zdobywają kobiety w walce o równouprawnienie w pracy z mężczyznami. Niedość, że wtargnęły do literatury i sztuki, zdobyły doktoraty praw i medycyny, lecz obecnie coraz częściej zaczynają obejmować obowiązki... agentów policji. Jak zwykle, tak i w tym wypadku, torują drogę angielki. Nie noszą one do tej pory kastetów *policementów* i nie rozpędzają dotychczas przechodniów na ulicach Londynu, celem zaprowadzenia porządku, ale to już tylko kwestja czasu. Tymczasem pracują z powodzeniem w agencjach prywatnych i jeśli okażą trochę wytrwałości, wydatki na policję kobiecą będą wkrótce figurować w budżetach miejskich i państwowym.

W Paryżu »Tricoche i Cacolet« są zazwyczaj niewiele znaczącemi osobistościami, które zajmują się osobiście interesami. Zanim się pojawił głośny wodewil pod powyższym tytułem, który tych panów ukazał światu, ich zatrudnienie mało komu było znane. Od czasu do czasu w procesach rozwodowych adwokaci uciekali się do usług tych niebezpiecznych pomocników, jednak ich działalność nie przybrała nigdy cech zawodu. Inaczej sprawa przedstawia się z drugiej strony kanału. Tam John Tricoche i jego wspólnik James Cacolet uważani są za obywateli pierwszorzędnych i cieszą się poważaniem całej dzielnicy miasta, którą zamieszkują. Ich majątki rosną w oczach, a w chwili, gdy wspólnicy zaczną wycofywać się z interesu, jeden z nich kupi willę w okolicach Florencji, drugi zaś, mający predylekcję do nieba Algerji, założy sobie rezydencją na wzgórzu Mustaty. Zanim się urzeczywistnią te marzenia, przyjmują klientów, którzy w wielkiej masie napływają do biur agencji.

Nieufność stawiana jest przez anglików w rzędzie pierwszych cnót narodowych. Nie

Na balu.



— Zbliża się do nas pan Alfons.
— Ale pijany...
— Trzeźwy nie przyjdzie — nie bój się! nie taki on głupi!...

Niepodobieństwo!...



— Zmiłuj się pan! podaj mi swoją laskę, bo utonę!...
— Nie mogę! niepodobieństwo, bo byś mnie pan pociągnął za sobą...

uznają oni bynajmniej zasady, że sztuka zamykania oczów stanowi jedyną gwarancję szczęścia. Pryncypał czuwa nad swymi urzędnikami, ojciec rodziny stara się zasięgnąć wiadomości o prowadzeniu synów, mężowie pragną wiedzieć, co porabiają ich żony. Krótko mówiąc, anglicy robią ciągle wynalazki w kierunku obrzydzenia sobie życia i trzeba przyznać, że udaje się to im wybornie. Dzięki tej manji narodowej, która zmusza anglików do śledzenia za swymi służącymi, podwładnymi i członkami rodziny, nastręcza się obszerne pole do podejrzeń i szpiegostwa, agencje policji prywatnej stały się w królestwie Wielkiej Brytanii przemysłem bardzo zyskownym i kwitnącym.

Kto wpadł pierwszy na genialną myśl angażowania kobiet do prywatnych agencyj policji tajnej, to, zdaje się, na zawsze pozostanie tajemnicą. Właściciele agencji narzekają powszechnie, iż kompletowanie personelu stanowi słabą stronę ich interesu. Dawni agenci policji rządowej, odprawieni z powodu niegrzecznego obchodzenia się z publicznością podczas pełnienia obowiązków służbowych i rozbitki, pochodzący z rozmaitych warstw towarzystwa angielskiego, nie przedstawiali żadnej gwarancji, choćby z tego powodu, iż zawsze gotowi byli wyciągać ręce do wszystkich. I na co opłacać indywidua podejrzane, gdy młode dziewczyny, inteligentne, wykształcone i uczciwe tułają się w znacznej liczbie na bruku londyńskim w poszukiwaniu pracy? Czyż nie należy wyzyskać zdolności wrodzonych u wielu kobiet, które rodzą się z powołaniem na agentów policyjnych? Pozyskanie ich zapewniłoby powodzenie w wielu delikatnej natury sprawach i umożliwiło zaprowadzenie oszczędności, praca kobiet, bowiem, na całym świecie wynagradzaną bywa gorzej od pracy mężczyzn. Tak rozumowali właściciele agencyj i rozważywszy dojrzale ten pomysł, wprowadzili go w wykonanie, usuwając jednocześnie ze swych biur część personalu męzkiego. Tym sposobem potworzyły się brygady agentów policji tajnej... w spódnicach.

Inowacja ta w wielkich magazynach londyńskich okazała się w skutkach nader praktyczną. Złodziejki z profesji, wprawione zdawna do mylenia czujności agentów z podejrzanemi minami i źle odzianych, których rozpoznawały z największą łatwością na pierwszy rzut oka, wpadały tuzinami w zasadzkę, którą im urządzano z pomocą kobiet. Trudno było im domyśleć się, iż mała mieszczanka z prowincjonalnem obejściem, lub młoda dziewczyna w nieforemnym mundurze armii zbawienia, której zachowanie skromne nie budziło najmniejszej nieufności, były urzędnikami jednej z agencji w rodzaju Tricoche et Cacolet

W restauracjach, bawarjach i szynkach trzecio i czwartorzędnych agenci w spódnicy mają do spełnienia podwójną misję, dają bowiem baczenie nietylko na gości, lecz i na personal domowy. Ażeby dobrze wywiązać się z zadania, prawie zawsze ubierają się w kostjum dziewcząt usługujących, nad któremi obowiązane są czuwać. Trudno uwierzyć, z jaką zręcznością młoda *barmaid* angielska, przyzwoicie ubrana, z oczami spuszczonemi w ziemię i skromną minką, umie zeskamotować portmonetkę gościowi, udając, że poprawia mu kołnierz paltota, lub podnosi chustkę do nosa, którą poprzednio sama wyrzuciła na ziemię. Tym sposobem, zarobki codzienne dziewczęta usługujące pomnażają dochodami nadzwyczajnemi i przy manipulacjach około kieszeni gościa, zazwyczaj nie wystrzegają się wzroku koleżanek. Wiedzą z doświadczenia, iż większość ich nie przeszkodzi, a nawet gotowa zawsze jest pomódz w robocie, mającej na celu zdobycie portmonetki gościa. Dopiero w dniu, w którym stają przed sądem, orjentują się w intrydze, której padły ofiarą Mała irlandka, która umiała tak szybko pozyskać ufność towarzyszek, zasiada na ławie świadków i opowiada dokładnie historję wszystkich kradzieży, jakie popełniły *barmaids* za jej pobytu w zakładzie.

Zachęcona powodzeniem swych debiutów w magazynach, policja kobieca nie zaniedbała wkrótce potem rozszerzyć zakresu swych działań. Pewien fabrykant koronek widział z rozpaczą, jak firma rywalizująca z nim bezczelnie naśladuje jego wzory i sprzedaje podług nich wyrabiane koronki, wcześniej od niego. Gdy po długich staraniach nie mógł wykryć winnego, przemysłowiec na pół zrujnowany przez konkurującą z nim fabrykę, postanowił udać się po radę do agencji prywatnej.

Następnego dnia w fabryce zjawiła się nowa robotnica. Była to młoda dziewczyna, świeżo przybyła do Londynu, a jej spokojne prowadzenie nie dawało najmniejszych dowodów do przypuszczeń, że ma do spełnienia w fabryce jakąś tajną misję. Mimo to, nowa robotnica wzięła się do roboty tak zręcznie, że po upływie już trzech dni oficjalista, który za grube wynagrodzenie sprzeniewierzał się swemu pryncypałowi i wykradał wzory, został schwytany na gorącym uczynku i oddany w ręce sprawiedliwości.

Właściciel biura ogłoszeń, pragnąc dowiedzieć się, ile egzemplarzy drukuje wydawca dziennika, nie potrzebuje obecnie, jak to się działo niegdyś, przekupywać urzędnika w administracji. Ta stara metoda kosztowała dużo, a nie zawsze dawała dobre rezultaty i dziś całkiem już wyszła z użycia. Kto pragnie posiadać tego rodzaju wiadomości, udaje się do agencji prywatnej. Tricoche (lub Cacolet) wprowadza w grę kobietę młodą, inteligentną, która prędko obznajmia się z przyzwyczajeniami i charakterem trzech, lub czterech osób, wtajemniczonych w interesa firmy. Rozpatrzywszy się na polu działania, policjantka zaczyna prowadzić regularną kampanię przeciwko temu, kto się jej wydaje najmniej zdolnym do utrzymania sekretu, a w razie potrzeby, udaje nawet przed nim istotę bardzo ograniczoną. Nie jeden z czytelników może wyrazić zdziwienie, że z tamtej strony kanału la Manche, osoby prywatne przywiązują takie wielkie znaczenie do wiadomości, ile egzemplarzy drukuje codziennie redakcja danego dziennika. We Francji tylko rząd ma

upodobanie do tego rodzaju statystyki, ale w Anglji agenci ogłoszeń są bardzo niedowierzający na tym punkcie i nie dadzą ogłoszenia zanim się nie dowiedzą, ile egzemplarzy sprzedaje się dziennie danego wydawnictwa.

Młoda pokojówka angielska, zebrawszy na służbie mały kapitalik, pragnie wyjść za mąż i daje o tem ogłoszenie do dziennika. Nazajutrz kandydat zgłasza się. Po upływie pewnego czasu amant wkrada się w zaufanie biednej dziewczyny i otrzymuje od niej sumkę pieniędzy, za które ma nająć i urządzić mieszkanie dla siebie i przyszłej żony. Nie potrzeba dodawać, że awanturnik, wyłudziwszy pieniądze, znikł bezpowrotnie. Dramaty takie do niedawna były na porządku dziennym. W każdej innej stolicy europejskiej narzeczona, zawiedziona w miłości i obrana z pieniędzy, udaje się do komisarza policji, który przyjmuje zażalenie i w zamian udziela ojcowskich przestróg. W Londynie policja rządowa nie przywiązuje żadnej wagi do przestępstw małego znaczenia. Jedynym więc środkiem ratunku dla dziewczyn, które były tak naiwne i dały się skusić obietnicom małżeńskim szalbierza, są agencje prywatne. Dawniej angielski Tricoche (lub Cacolet), wydarłszy nieszczęśliwej ofierze podwójnej zdrady ostatni szyling, który wypadkowo pozostał po ruinie finansowej, powierzał całą sprawę agentowi mężczyźnie, a ten starał się usilnie, żeby nigdy nie wynaleść wiarołomnego narzeczonego. Zemsta za zniewagę, wyrządzoną rodzajowi niewieściemu, oczekiwała na agentów w spódnicach. Zamiast tracić czas na szukaniu winnego w szynkach londyńskich, policjantka bierze się na całkiem inny sposób. W tym samym dzienniku, co i ofiara podstępu, robi ogłoszenie podobnej treści. Zbieg, węsząc nową zdobycz, wpada zazwyczaj w zastawione sidła. Policjantka przyjmuje mile wszystkie komplementy, nadskakiwania, naznacza mu mnóstwo schadzek, obiecuje oddać oszczędności i... stara się o świadków, którzyby go mogli schwytać na gorącym uczynku. W kilka dni później sąd policji w Wolevich wymierza oskażonemu surową karę i pierwsza narzeczona została pomszczoną, choć pieniądze zebrane, niestety, przepadły na zawsze.

Pewien członek izby gmin, bardzo bogaty i bardzo skąpy, nie mógł przez długi czas zmiarkować, gdzie mu podziewają się pieniądze. Sztuki złota znikały w sposób niewytłumaczony z portmonetki, banknoty ulatniały się z pugilaresu. Podejrzewał po kolei wszystkich służących i swego sekretarza, lecz ich uczciwość wyszła zwycięzko z najcięższych prób i zasadzek. Tymczasem pieniądze zaczęły znikać dalej, prędzej, niż znikały dotychczas i przyprowadzony do ostateczności deputowany udał się po radę do swego adwokata. Poradzono mu, ażeby wprowadził do swego domu policjantkę w charakterze panny służącej. Ułożono, że tajemnica będzie ściśle zachowana i nawet żona deputowanego nie będzie nic o tem wiedzieć.

Po upływie ośmiu dni nowa służąca skorzystała z chwili sam na sam z deputowanym i zapytała: »Czy pan znasz pana R...?« Członek parlamentu pojął odrazu, iż padł ofiarą podwójnego nieszczęścia. Własna żona nietylko okradała go, ale w dodatku, oddawała pieniądze osobie, która, jego zdaniem, była w kółku rodzinnem najzupełniej zbyteczną. Deputowany, unikając skandalu, zamiast rozwodu, przedsięwziął długą podróż na ląd stały.

Teatr — koncerta — widowiska.

Są utwory z dziedziny wszystkich gałęzi działalności, czy, wreszcie, twórczości umysłu ludzkiego, które są, ani złe, ani dobre. Do takich należy *Fredzio*, 3-aktowa komedja p. Graybnera, przedstawiona u nas w tym czasie po raz pierwszy.

Przedewszystkiem, pracy tej brak zupełny oryginalnej indywidualności autorskiej i to tak dalece, że z tego, co autor robi, można twierdzić na pewno, że p. Graybner nigdy samoistnym komedjopisarzem nie będzie. Można wzorować się, oczywiście na prawdziwych wzorach, można należeć do pewnej szkoły literackiej jakiegoś mistrza słowa, ale zlepianie z *cudzych* kawałków *swojej* całości, było, jest i pozostanie dowodem mierności, czasem bardzo poczciwej, ale zawsze mierności, która, ani w niebie, ani w piekle dziury nie zrobi...

Treść *Fredzia* poczerpnięta niby z naszego obyczajowego życia, choć wcale nie zaleca się świeżością pomysłu, gdyby się była dostała pod pióro samoistne, któreby umiało w swoje własne postacie ją wcielić — nie wyszłaby tak blado i w takich banalnych, a swoją drogą pretensjonalnych, dramatycznych epizodach, jak to się, właśnie, dzieje we *Fredziu*. Więc mamy po trochu, i Jowialskiego, i szambelana, i Tykalską, dla odmiany głuchą, i trochę „Ryb grubych“, i wiele innych... „oryginalności“ p. Graybnera... To jest kardynalna wada *Fredzia* — autor nie jest sobą.

Druga:

Pan Graybner, na całej linji, jaką rozwinął w *Fredziu*, dowiódł jedynie, że prawdziwego komedjopisarskiego humoru, dowcipu i ciętości satyrycznej, nie posiada wcale; nie ma tego wszystkiego, ani w kreślonych postaciach, ani w sytuacjach epizodycznych, czy nieepizodycznych, ani, wreszcie, w djalogu — są tylko koncepta, są „kawały“ — jest także silenie się na dowcip, a to gorsze, jak najgorsze koncepta...

Jeśli p. Graybner sądzi, że przechrzta Złotogórski, jest jego własną postacią, możemy się ostatecznie, na to zgodzić, ale to jest, właśnie, postać tak chybiona, tak płytko pomyślana, taka kopja, jak to powiadają, djabli wiedzą czego, że ona stanowi fatalny *minus* dla p. Graybnera talentu który, doprawdy, bardzo jest ubogi... w *plusy...*

Sam Fredzio, który dosadnością swojej charakterystyki, jako postać tytułowa, powinien dominować w sztuce, jest pozszywany z różnych gałgankow facet, równie, jak i jego kolega — jakiś drugi szpunt, kręcący się, Bóg wie po co, w drugim akcie.

Fabryczki przerabiania ludzi złych na dobrych, tak w oczach „szanownej publiczności“, przypominające bilety wizytowe á la minute, z małym „szlaczkiem“ starego Skibińskiego — nie można także zakarbować panu Graybnerowi na... *plusy...*

Zdzieranie przez Fredzia jakiegoś drogiego obrazu ze ściany w domu dziadka, mógłby był p. Graybner zostawić do następnego jakiego swojego utworu, w którymby n. p. ogarnięty szewską pasją djurnista skarbowej dyrekcji, zrywał ze ściany „oeldruck“, kupiony przez żonę, na raty; dla tragiczności sytuacji, możnaby zamarkować, że tylko pierwsza rata zapłacona była...

Koniec końcem, pozostała jeszcze, comme de raison, tendencja... Ta „ciotka“ wszystkich autorów, jest i u pana Graybnera... poczciwa wieśniaczka...

Ów Fredzio, którego rola przez autora słabo wyposażona, grą aktorską podniesiony nie został, a co prawda i trudno było to zrobić, bo... pruła się autorska robota. Grał Fredzia, jak mógł najlepiej, p. Trapszo.

Piękna, wysoce umiejętna gra p. Zboińskiego, przynajmniej w głównych zarysach podniosła postać starego Skibińskiego. Gdyby zaś nie wyborna gra p. Fiszera, przechrzta Złotogórski byłby, po prostu, fatalnie nudny... Halkę „naiwną“ wnuczkę, czy coś podobnego, grała z wdziękiem, swobodą i naturalnością, panna Czaplińska. O innych postaciach nie warto nawet wspominać i z piasku bicza ukręcić nie mogli: panie: Gostyńska, Otrembowa i Cichocka, oraz panowie: Feldman, Chmieliński i Walewski.

Autor końcem pierwszego aktu odmawiając „Anioł Pański“ przy akompaniamencie kuranta zegarowego — nie wymodlił niestety, dla *Fredzia* miejsca stałego w repertoarze, w literaturze i... w pamięci ludzkiej...

Wejście w świat, 3-aktową komedję p. Przybylskiego dano na lwowskiej scenie po raz pierwszy dnia 30. stycznia W tym nowym utworze utalentowanego autora dużo ruchu, życia, zabawnych epizodów, ale praca to nierówna i przeładowana drobnostkami na szkodę głównej treści, głównej myśli i głównych postaci działających. Gdzie autor zawadzi o liryzm, choćby w formie uśmiechniętej, tam wychodzą rzeczy piękne prawdziwie i do takich, właśnie, należy scena w 3-cim akcie pomiędzy córką, a ojcem. Gwałtowna scena końcowa w 2 gim akcie, jakkolwiek strzela efektem do aplauzu publiczności, jest pewnego rodzaju już szablonem, a kichaniem, jako czynnikiem komicznym, autor takiego talentu, jak p. Przybylski posługiwać się nie powinien, bo to już dziś, nawet nie dla galerji... Błąd nie do darowania popełnił autor, wprowadzając na sam koniec sztuki polskiego Harpagona, którego przyjście, wejście w akcję, całe z tego wynikłe sytuacje i sam „borsuk“ — takie to wszystko jakieś, ni w pięć, ni w dziewięć, że, doprawdy, tem zepsuciem całej połowy trzeciego aktu, autor silnie zaciął swoją literacką reputację... Całe też zakończenie komedji *per Dominum pstrum*, jest bardzo powszednie, co prawda, nie w życiu, lecz na scenie, dla której tem gorzej, gdy odbiega od życia...

Wejście w świat grano u nas z werwą prawdziwą. Najgłówniejsze postacie znalazły wybornych wykonawców — panowie: Zboiński, Fiszer, Woleński, oraz panie: Gostyńska, Czaplińska, Cichocka — wszyscy zasługują na szczery i gorący oklask; role epizodyczne doskonale odegrali pp. Chmieliński, Feldman, Walewski i inni, oraz panie: Otrembowa i German.

Wyborną subretką była panna Rybicka, artystka, która swoją swobodą, naturalnością, wdziękiem i piękną dykcją, zwraca zawsze szczególną uwagę.

Po raz pierwszy w tym sezonie dano *Martę*, dosyć dawno już u nas nie śpiewaną operę. Główną partję tenorową śpiewał p. Myszuga z ogromnem powodzeniem — inne partje wyszły dobrze, ale dominował nad wszystkimi p. Myszuga — który, rzeczywiście, śpiewał, cudownie. Dzielnie mu towarzyszył w basowej partji p. Jeromin. Dobrą Martą była panna Biondelli, a jej towarzyszkę Julję doskonale odśpiewała pani Kasprowiczowa.

Z powodu *Poskromienia złośnicy*, wznowionej 5-aktowej komedji Szekspira, dość dawno u nas nie granej, nic więcej nie mamy do zanotowania, chyba to, że dzieło nieśmiertelnego dramaturga starannie było odegrane na naszej scenie i główne role w grze panów: Żelazowskiego, Zboińskiego, Feldmana, Kliszewskiego, Chmielińskiego i Walewskiego, oraz pań: Stachowiczowej i Dzirytówn ej, wyszły z artystycznem zacięciem, humorem i werwą.

Zanotować także godzi się, że *Skalbmierzanki* stara opera, sprowadziła tłumy ciekawych do teatru na popołudniowe, niedzielne przedstawienie. To jest przekonywająca wskazówka, gdzie należy szukać zasilenia popołudniowego repertoaru.

Z artystycznego świata krakowskiego.

W teatrze zaczął się, właśnie, szereg benefisów, a to sztuką Moliera p. t. „Szkoła kobiet“ daną na dochód p. Siemaszki w dniu 21. stycznia. W drugą sobotę t. j. dnia 28. stycznia wybrała sobie ulubienica tutejszej publiczności: panna Wojnowska dramat p. t. „Oszustka paryska“. Dnia 4. lutego, był benefis p. Sobiesława, na którym odegrano dramat: „Kobiety z kamienia“.

Wystawa obrazów wieczorna ciągle jest tu licznie odwiedzaną i tak w święto, dnia 2. lutego było 400 osób.

Z dziedziny muzyki mamy do zanotowania koncert Jana Lassala, barytonisty opery w Paryżu z współudziałem orkiestry pułku 13., dany dnia 18. stycznia. U nas najwięcej podobał się odśpiewaniem „Kozaka“ Moniuszki, który to utwór koncertant powtórzyć musiał, zakończając piosnkę tę niepotrzebnie oktawą w górze.

W piątek dnia 27. stycznia, odbył się w sali hotelu Saskiego koncert na budowę pomnika Artura Grottgera, urządzony przez tutejsze Towarzystwo muzyczne. Program tego koncertu zawierał, co z całą przyjemnością tu podnosimy — *same utwory polskie*, same dzieła starszych i młodszych naszych kompozytorów. Rozpoczęto wieczór Moniuszki uwerturą p. t. „Bajka“. Bohaterem wieczoru był p. St. Niewiadomski ze Lwowa. Przybył do Krakowa, gdzie właśnie wykonano jego „Kolędy“ na chór mieszany, sola i orkiestrę. Kompozytor dał nam poznać tę muzykę ludową w formie nader wykwintnej, w opracowaniu wzorowem. Solo wykonali pięknie pani Galowa i p. Leon Nowak. Podobały się również trzy pieśni ludowe Sołtysa na chór mieszany z towarzyszeniem orkiestry. — Panna Jadwiga Loriówna wykonała na fortepianie z towarz. orkiestry „Krakowiaka“ Chopina. — P. Dr. Ożóg wygłosił ze zrozumieniem „Improwizację“ Mickiewicza. — Chóry pod dyrekcją p. Barabasza dzielnie się trzymały, a szczególniej wzorowe piano i pianissimo w kolendach zwracały uwagę znawców. *Maurycy Sieber.*

Ciekawe rzeczy.

Manja operacyjna. W „Medycynie“ czytamy: „W towarzystwie medycyny wewnętrznej w Berlinie, dr. Leyden demonstrował ciekawy okaz histeryczki, siedm razy operowanej. Była to 37-letnia, inteligentna szwaczka, dotknięta prawdziwą manją poddawania się operacji. Leyden nazywa stan taki *furor operativus*. Pacjentka była przekonana o niezbędności każdej operacji, gdyż powiedziano jej jakoby, że na innej drodze uleczoną być nie może. Leydenowi udało się jednak wyśledzić, iż przeciwnie, niektórzy chirurgowie na wyraźną jedynie prośbę chorej dali się skłonić do wykonania operacji, która nie była koniecznie wskazaną. Nie jest to, według Leydena, wypadek odosobniony. Miał on już przed laty chorą, u której wykonano gastroenterostomię, z powodu jakoby zwężenia odźwiernika (były wymioty). Po kilku latach z powodu owarialgii wycięto jej obadwa jajniki. W końcu okazało się, iż chora dotknięta była wiądem rdzenia. U innnej znów pacjentki kilkakrotnie powtarzało się *Perityphlitis* z przypadłościami zamknięcia kiszek (*Ileus*). Zadecydowano operację, chora leżała już na stole, ale operator (Bardaleben) nie chciał jej wykonać, mając pewne wątpliwości i słusznie, bo napad minął i pacjentka wyzdrowiała. Później, przy podobnym napadzie *Ileus* dostała się w ręce chirurga, który na usilne jej żądanie wykonał laparotomię, ale żadnego zboczenia nie znalazł. Po upływie pół roku chora ponownie poddała się operacji w celu sprawdzenia, czy nie zostało czasem coś chorobliwego w jej brzuchu. I wśród mężczyzn trafiają się podobne indywidua. Pewien inteligentny chory skarżył się na ucisk w okolicy żołądka, który nie pozwalał mu oddawać się zwykłym zajęciom Udało mu się przekonać o konieczności operacji pewnego znakomitego chirurga, który otworzył jamę brzuszną, obejrzał żołądek, lecz nic nie znalazł. Mimo to ból pozostał, tak, iż chory po roku żądał powtórnej laparotomii. Nietylko na polu chirurgji, ale i medecyny wewnętrznej napotyka się podobnych chorych. Są tacy, którzy chwytają się coraz nowych i gwałtownych środków leczniczych. Do tej samej kategorji należy epidemiczny niemal popęd do poddawania się wstrzykiwaniom różnych cudownych specyfików (sperima, mózg barani, witalina). Wracając do wymienionej na początku pacjentki, historja jej jest pokrótce następująca: przed 10 laty miała jakoby wrzód żołądka (wymioty krwawe); uleczyły ją przepłukiwania. Po 5 latach spadła z drabiny. Skutkiem uszkodzenia brzucha poddała się jakiejś operacji, wykonanej w pochwie. W rok później zrobiono jej amputację szyjki macicy. Wkrótce, z powodu nowych przypadłości żołądkowych, poddała się operacji wycięcia wrzodu żołądka. Gdy po 9 miesiącach opuściła klinikę, uczuła jakiś guz ruchomy w brzuchu, który rozpoznano jako nerkę ruchomą; wykonano więc czwartą operację przyszycia nerki. Z powodu powtórzenia się wymiotów i bólów brzucha, zrobiono w pewnej prywatnej klinice laparotomię; znaleziono zrosty żołądka, które oddzielono. Operacja szósta polegała na odjęciu członka palca u stopy, z powodu odmrożenia. Wreszcie ostatnią zrobiono z powodu bólów żołądkowych i usunięto, jak chora utrzymuje, jakiś nowotwór“.

Sposób na sposób. Jeden z przemysłowców paryzkich, widząc oznaki niezadowolenia wśród swoich oficjalistów i robotników, zwołał ich z górą trzystu. Panowie! — rzekł — człowiek stać powinien na wysokości swojego czasu; otóż ja czynię was wszystkich wspólnikami mego przedsiębiorstwa!... (Frenetyczne oklaski). — Przeszłego roku ponieśliśmy straty 150.000 franków. Obecnie interesa idą coraz gorzej. Otóż od dziś dnia stajecie się współwłaścicielami przedsiębiorstwa!... (Wrzaski oburzenia). Uciszcie się, moi drodzy, to jest jedyny sposób uratowania nas od bankructwa.

Życie zwierząt jest nierówne. Najkrócej ze zwierząt czworonożnych żyje wiewiórka, bo tylko 7 lat, słoń 200 lat może żyć Zając 8 lat, królik 9, owce i kozy 10, lis 15 kot 18, wół 20, wilk, niedźwiedź i jeleń 20, koń 30, lew 60 lat żyć może. Z ptaków najdłużej żyje papuga, bo 120 lat, kura 10, kanarek 24, paw 25, jastrząb 40, gęś 50, łabędź 100, orzeł i kruk 100. Z ryb szczupak i karp najdłużej żyją — pierwszy 200 lat, a drugi 150 lat.

Różne sprawy.

— Nakładem i drukiem księgarni Wilhelma Zukerkandla w Złoczowie, od dłuższego już czasu wychodzi *Biblioteka Powszechna*, zawierająca tak dzieła polskie, jak i z obcych języków tłomaczone, należące do literatury belletrystycznej i obejmujące także dzieła popularne i pożyteczne, uwzględniające rozliczne gałęzie umiejętności i potrzeby życia praktycznego. Dotąd *Biblioteka Powszechna* wydała dzieł tomików 62, z których każdy kosztuje 12 ct. cena niepraktykowanie niska! Ostatnie tomy, jakie mamy przed sobą zawierają: *Nieboska Komedja* Zygmunta Krasińskiego, *Zriny* tragedja w 5 aktach z węgierskiego tłomaczył Jenike, *Dziennik Franciszki Krasińskiej* Klementyny z Tańskich Hofmanowej i *Victoria* powieść Teofila Szumskiego. Główne składy *Biblioteki Powszechnej* znajdują się w księgarniach Teodora Paprockiego i Ski w Warszawie, Sayfartha i Czajkowskiego we Lwowie i A. Cybulskiego w Poznaniu — można, jednak, dostać każdego tomu *Biblioteki Powszechnej* we wszystkich księgarniach.

Z całą sumiennością zwracamy uwagę szerszego polskiego ogółu na *Bibliotekę Powszechną*, jako na wydawnictwo bardzo pożyteczne, a która ze względu na taniość, jest przystępne dla każdego. Wszystko, co obejmuje *Biblioteka Powszechna* posiada rzetelną wartość literacką. Dzieła *Biblioteki Powszechnej* powinny się znaleść w każdym domu polskim i z pewnością stanowić będą pokarm duchowy zdrowy, przyjemny i pożyteczny, wystarczający nie jednemu pokoleniu w rodzinie.

— We Lwowie zaczęły wychodzić dwa nowe dwutygodniki: jeden poświęcony sztuce p. t. *Nasza sztuka* pod redakcją znanego i utalentowanego artysty-rzeźbiarza p. Lewandowskiego, który również i na polu dziennikarsko-literackiem dał się poznać, jako uzdolniony pisarz. *Nasza sztuka* illustrowaną powinna być, tembardziej, że ją wydają artyści-malarze i rzeźbiarze. Z dwóch numerów nie chcemy wydawać sądu — zobaczymy, czy *Nasza sztuka* potrafi być *naszą* i *dla nas*...

Drugim dwutygodnikiem jest *Przedświt*, pismo poświęcone wyłącznie dla kobiet, redagowane przez pannę Janinę Sedlaczkównę. Dotąd wyszło trzy numery tego *Przedświtu*.

— We Lwowie wychodzi bardzo pożyteczny i praktyczny *Pierwszy polski kurjer kolejowy*; układa go B. A. Chodkiewicz, urzędnik kolejowy, a wydaje J. Schenker. *Kurjer* ten w zeszycie, jaki posiadamy na grudzień i styczeń, ma dwie mapy kolejowe i wszelkie objaśnienia dotyczące cen kolejowych, rozkładu jazdy, połączeń, tak, że może każdy sobie obliczyć, kiedy, zkąd i dokąd jaki pociąg odchodzi — przytem znajdują się wszelkie przepisy taryfowe, ceny biletów, tabliczka porównawcza czasu kolejowego, plany kolejowe i ogłoszenia. Zeszyt dosyć gruby *Kurjera kolejowego* kosztuje 20 ct.

Dwa bardzo pożyteczne pisma ludewe począł wydawać od 1. stycznia w Krakowie, ksiądz Marceli Dziurzyński: jedno nosi tytuł *Nowy Dzwonek*, drugie *Gazetka Ludowa* — każde z nich jest dwutygodnikiem, a więc prenumerujący obydwa pisma, co tydzień otrzymują numera tych pisemek, poświeconych nauce, powieściom i dziejom kościelnym.

Praktyczne wiadomości.

Kasza z orzecha ziemnego. Owoc z orzecha ziemnego (arachis hypogea) służy w sferach gorących ludziom za pokarm. Jest on koloru bladożółtego, smaku słodkawego i trąci nieco olejem. W ostatnim czasie prof. dr. Noerdlinger z Bockenheim zadał sobie niemało pracy, żeby orzech ziemny uczynić przydatnym do żywienia ludzi. W tym celu rozdrabia go i pozbawia pewnej zawartości tłuszczu i tak przyrządzony wyrób poleca pod nazwą kaszy z orzecha ziemnego. Pojedyńcze ziarnka tej kaszy mają wielkość soczewicy, aż do wielkości polnego grochu i są kształtu podłużnego. Owoc ten zaleca się szczególną obfitością cząstek pożywnych W porównaniu do innych artykułów spożywczych, kasza z orzecha ziemnego, której kilogram kosztuje tylko 40 fenigów, jest nadzwyczaj tania.

Sposób przyrządzania kaszy z orzecha ziemnego jest zupełnie ten sam, co innych jarzyn. Opłukawszy najprzód ziarnka, moczy się je przez jaką godzinę w miękkiej wodzie, ażeby dobrze napęczniały, poczem gotuje się w zwykły sposób z dodaniem soli, nieco korzeni, a kto chce, dodać może i trochę buljonu, lub rosołu. Potrawa ta smakuje, podobno, wybornie.

Próbowano także mleć ziarnka orzecha ziemnego na mąkę, której można domieszać do wszelkich innych potraw, ubogich w azot.

Odpowiedzi od Redakcji i Administracji.

Pan Syroczyński w Campello Mess. Cztery dollary otrzymaliśmy za rok 1893. — wszystko, co należy wysłane.

Wbny Ks. Januszkiewicz w Reading Pa. Za cały rok bieżący prenumerata obecnie zapłacona. Cztery dollary otrzymaliśmy.

Wbny Ks. Kozłowski w Manistee. Sześć dollarów za pośrednictwem lwowskiej filji banku dla handlu i przemysłu, otrzymaliśmy. Obecnie prenumerata zapłacona do końca 1892 roku. — Osobno list wysłaliśmy.

Pan Jankowski Wilno (Canada). Półroczną prenumeratę otrzymaliśmy. Wszystko, co należy wysłane. Nie możemy sobie, jednak, wytłomaczyć, dlaczego dollary kanadyjskie daleko niżej stoją, jak inne. Za te dwa dollary zapłacono nam we Lwowie tylko 4 zł. 20 ct. w. a, a więc jesteśmy stratni.

Wbny Ks. B. w Nowym Targu. Prosimy o nadesłanie nam rękopismów.

Pan Antoni Gruzlewski w Guelph, Ont (Canada). Dwa dolary otrzymaliśmy — wszystko, co należy wysłane, jako półrocznemu prenumeratorowi.

Od Ekspedycji.

Do dzisiejszego numeru dołącza się osobny DODATEK z ogłoszeniami.

Nadesłane.

Zwraca się baczną uwagę na ogłoszenie o składzie maszyn do szycia pod firmą *K. Robinsohn i Furth w Przemyślu.* (5801-4-1).

Urządzona podług wszelkich wymagań technicznych, znana od lat wielu fabryka machin i narzędzi rolniczych pana **Fröhlicha w Rzeszowie**, podejmuje się urządzania: gorzelni, browarów, oraz innych zakładów fabrycznych. Wykonuje wszelkie narzędzia i machiny rolnicze i przyjmuje takowe do reparacji, uskuteczniając je najdokładniej, rychło i po cenie umiarkowanej. (5805-5-1).

Świeżo założoną cukiernię **p. Nasalskiego we Lwowie, przy ulicy Akademickiej l. 8**, polecić możemy naszym paniom gospodyniom, jako zakład prowadzony sumiennie, uczciwie i ze znajomością swego fachu. Przewyborne cukry, świeże ciasta w najróżnorodniejszych gatunkach, smaczna kawa i herbata, mogą zadowolnić największego smakosza. Cukiernia urządzona jest z wielką elegancją i komfortem, usługa prędka i grzeczna, spodziewamy się więc, że zakład p. Nasalskiego, przy tak energicznem i rzetelnem kierownictwie, wkrótce zamienić się powinien w pierwszorzędny. (5807-3-1).

Zwraca się baczną uwagę P. T. Publiczności przejezdnej *na restaurację p. Döglera*, na stacji kolejowej w Krasnem. Pan Dogler, przed laty posiadając pierwszą cukiernię i restaurację w Kołomyi, dał wiele dowodów fachowej i rzetelnej znajomości na polu gastronomji, a w Krasnem już od dawna brak było prawdziwie dobrej restauracji, gdyż zawsze niefachowi takową dzierżawili. P. Dögler, objąwszy restaurację w Krasnem na dworcu kol. zaopatrzył takową w różnorodne napoje, kuchnię doskonałą, którą pod własnym kierunkiem prowadzi, starając się, by wszelkie potrawy jak najsmaczniej i zdrowo przyrządzane były, zaś służba czysto ubrana i uprzejma, a ceny umiarkowane. (5730—4—2)

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: Fr. Ks. Kowaliszyn. Z drukarni W. A. Szyjkowskiego ul. Kopernika l. 5. Telefon 117

Illustracje odbite w litografji A. Plutera we Lwowie, ulica Kopernika l. 17

Dodatek do „Gońca i Iskry“

do Numerów: 2., 3. i 4.

(Wydrukowany odrazu na trzy nakłady, jako dodatki osobne do **trzech** numerów, do których się przy każdej ekspedycji dołącza).

Pierwszy galicyjski

ZAKŁAD MUNDUROWANIA

pp. Oficerów i Urzędników

H. ROSENTHAL

ces. i król. dostawca nadworny

LWÓW, ulica Kopernika liczba 9.

Jedyny i wyłączny skład wszelkich przyborów uniformowych, broni przybocznej i palnej, artykułów szmuklerskich jako to: galonów, sznurów i t. p. czapek własnego wyrobu, oraz wszelkich artykułów wojskowych.

Wielki wybór wszelakich materyj na mundury

pp. oficerów i urzędników państwowych.

Kompletne wyekwipowanie pp. jednorocznych ochotników i oficerów rezerwowych. (5721-8—4. 5. 6-dod.)

Ceny umiarkowane stałe.

Dom Bankowy i Kantor wymiany

M. KLARFELD

we Lwowie, przy ulicy Hetmańskiej l. 6,

kupuje i sprzedaje (5709-10-2. 3. 4-dod.)

wszelkie papiery wartościowe i monety

po kursie dziennym, bez doliczania prowizji.

Przyjmuje także zlecenia dla giełdy wiedeńskiej i berlińskiej. Wszelkie papiery wartościowe wylosowane, tudzież płatne kupony, przyjmuje za gotówkę bez wszelkiego potrącania.

Zlecenia z prowincji uskuteczniają się odwrotną pocztą.

Fabryka gipsu

Józefy Franz i synów

we Lwowie ul. Rzeźnicka l 16

Odznaczona kilkoma medalami, poleca

GIPS

z własnych kopalń,

który jest prawie zupełnie czystym siarkanem wapniowym, wolnym od przymieszek gliny i krzemionu.

Fabryka założona w roku 1858,

wyrabia cztery gatunki gipsu:

Nr. I. **alabastrowy**, Nr. II. **sztukatorski**, Nr. III. **zwykły budowlany**, Nr. IV. **nawozowy**,

używany z bardzo dobrym skutkiem do gipsowania kominów. (5708-10-5. 6 7-dod.)

Nowo otwarty koncesjonowany (5738—10—4. 5 6-dod.)

ZAKŁAD POGRZEBOWY F. Nowińskiego

w Krakowie, Wesoła, ulica Kopernika l. 8,

zaopatrzony w wielki wybór trumien metalowych, jakoteż dębowych i z miękkiego drzewa, własnego wyrobu, materacy i poduszek do trumien, wszelkich ubrań żałobnych, krzyży nagrobkowych i krzyżyków, wieńców z sztucznych i żywych kwiatów, szarf z napisami do wieńców, posiada wszelkie przybory pogrzebowe, karawany oszklone i nieoszklone, zaprzęgi do wyboru, remizy, powozy parokonne i jednokonne.

Zakład urządza pogrzeby od najwspanialszych do najskromniejszych, po bardzo umiarkowanych cenach i ze ścisłą punktualnością.

Zakład wodoleczniczy

Dra Chramca

w Zakopanem, stacyi klimatycznej otwarty cały rok.

100 pokoi w cenie od 3 złr. 50 ct. kompletnie urządzony, z pościelą, usługą, kąpielami, świecami i honorarjum lekarskiem. Kuchnia wykwintna. **Deptak 800 m. kwadratowych**, w domu orkiestra, fortepian, bilardy, biblioteka, czytelnia bezpłatna. Powóz i konie do użytku gości.

Prospekta wysyła na żądanie administracja.

5696—16—5. 6. 7. dod.

Oszczędność

dla miast, gmin i wszystkich brukujących, lub potrzebujących kostek i płyt kamiennych.

Doświadczenie w praktyce, oraz **jednomyślny sąd** specjalistów i fachowców stwierdziły, że **najlepszym i najtrwalszym** materjałem do **wszelkiego brukowania**, jak również wykładanie płytami chodników na ulicach, lub też wewnątrz wszelkich budynków — jest **kamień porfirowy**, a ponieważ jest **najtrwalszy**, a więc i **najtańszy**.

Porfir taki znajduje się w obszernych, bo 50 morgów zajmujących:

Kamieniołomach J. BARANOWSKIEGO

pod Krzeszowicami.

Większe miasta, jak Berlin, Wiedeń, Warszawa, a także Lwów i Kraków, **ten porfir z kamieniołomów J. Baranowskiego** sprowadzają dla brukowania ulic i wykładania chodników. **Porfir** z tych kamieniołomów pochodzący, opiera się wszystkim zmianom klimatu, jest **twardszy** nawet od granitu, ściera się przez użycie równo, a więc czas i deptanie nie robi w nim dołów, w których się zbiera woda, lub lód i tym sposobem nie potrzebuje naprawy, — wytrzymuje najtęższe mrozy, nie wietrzeje i nie pęka.

Mimo tych przymiotów wytrzymałości i twardości, **cena porfiru** nie jest wyższa od innych kamieni, a od wielu **niższa** — ze względu zaś na **niezrówn ną wytrzymałość i trwałość, porfir jest tańszy od wszystkich innych kamieni brukowych** zwłaszcza, że z porfiru tego można wyrabiać płyty, bordiury, kostki, pieńki i t. p. o jednej treści i o gładkiej powierzchni, czego się nie da uczynić z innych materjałów. (5714-12-6. 7. 8 dod.)

Z wszelkiemi zamówieniami, wyjaśnieniami, oraz szczegółowemi żądaniami cen, udawać się należy pod adresem:

J. Baranowski,

właściciel dóbr i kamieniołomów w Trzebini.

JAN CZUBA

właściciel kamieniołomów w Bieśniku

wyrabia z kamienia ciosowego trwałego, nie ulegającego wpływom powietrza i wilgoci, wszelkiego rodzaju roboty kamieniarskie, jako to: *pomniki, figury, schody i różne inne rzeczy, służące do ozdoby kamienic, cokoły, odrzwia, futryny; układa chodniki, posadzki, cembry y do studzien i t. p.* (5742—10—3. 4. 5 dod.)

Wszystko po cenach najumiarkowańszych.

Uznanie. Uchwałą Świetnej Rady miasta Tarnowa z dnia 16. listopada 1882 r. udzielono p. Janowi Czubie, właścicielowi kamieniołomuw Bieśniku poczta Zakliczyn za trwałą i dokładną robotę dostarczoną dla miasta Tarnowa, wykonaną tanio i w należytym czasie – piśmienne uznanie.

Na zimę!

Wyborne obuwie ciepłe i nieprzemakalne z doskonałych materjałów, wykonane elegancko, tanie i trwałe, poleca właściciel pracowni szewckiej

Antoni Borczyk w Sanoku.

(5771-5-2. 3. 4-dod.)

Adwokat krajowy

Dr. Włodzimierz F. Dudykiewicz

otworzył kancelarję adwokacką

w Kołomyi, ul. Kościuszki dom p. Friedfertiga l. 196¼.

(5751-6-3. 4. 5-dod.)

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: Fr. Ks. Kowaliszyn. Z drukarni W. A. Szyjkowskiego ul. Kopernika l. 5. Telefon 117